Rozmaitości

DNIA 26. WRZEŚNIA Ner 39. 1835 ROKU.

FRANCUZCZYZNA
W POLSZCZE.

Ku końcowi ostatniego wieku straszliwa plaga dotknęła Polskę — *francuzczyzna*. Grzeczna, układna i zabawna, znalazła jak najlepsze przyjęcie. Polak pozwolił jéj krzątać się w swym domu, jakby w jéj własnym, wszystko w nim ganić, wyśmiać, wszystko do góry nogami przewrócić. Ona też zaczęła z swéj strony uczyć starą Polskę różnych nowych rzeczy. Śród tych nauk, dla lekkości w tańcu zdjęła z niéj kontusz i karabelę; dla biegłości w *filozofii* zakazała jéj staroświeckich pacierzów i modlitw; wreszcie dla okrasy, *poloru* i zupełnego odświéżenia zabroniła odwiecznéj mowy. Tak owa przemożna rozkosznica Tassa, w czarownym swym ogrodzie obnażała niebacznego rycérza: póty go pieszczotami wytrawiając, póki zeń całéj siły, całéj dzielności męża nie wyssała i wojownika nie przemieniła w nikczemnego niewieściucha. Szczęściem i prawdziwą łaską Bożą, nie cały nasz naród wszedł do szkoły tego profesora.

Jest powieść, że jakiś władzca chiński uroił był sobie, iż dotknięcie się prawą ręką lewego ucha oznacza g r z e c z n o ś ć; po całych tedy Chinach, jak Chiny wielkie, zaczęto chwytać się prawą ręką za lewe ucho; bo któżby nierad okazać się g r z e c z n y m? My wpadliśmy na myśl nie mniéj świetną, że gadanie po francuzku oznacza dobre wychowanie, dobry *ton;* po całéj tedy Polszcze, jak Polska széroka, zaczęto gadać po francuzku: bo któżby nie rad się okazać osobą dobrego wychowania, dobrego *tonu.* Rok w rok tedy, regularnie na wiosnę, byle się tylko cokolwiek ociepliło, przychodzi do nas transport guwernerów, guwernantek, *bon* (inaczéj mówiąc nianek albo ochmistrzyń) i t. p., to jest różnego rodzaju młodych, ubogich ludzi płci męzkiéj i żeńskiéj, rodem z tego lub innego miejsca, gdzie gadają po francuzku, więc gadających także po francuzku. Sztuka na sztukę i prawem francuzkiego urodzenia, wszystkoto są profesorowie i profesorki, gotowi natychmiast do użycia. Nowo przybywający nie szkodzą w niczém dawniéjszym, bo ci zwykle po pewnym czasie guwernerzy i guwernerki, wyuczywszy kilkoro polskich dzieci gadać ladajaką francuzczyzna, i zarobiwszy sobie trochę pieniędzy, powracają szczęśliwie, zkąd przybyli. Dopóki nie było tak wiele jak dziś bitych dróg i publicznych szybkowozów (dyliżansów), rzeczone transporta znacznie kosztowały, późniéj zaszły w téj mierze jak największe ułatwienia. Szlachta, mieszkająca na prowincyi i żyjąca jak to mówią z krédką, radzi sobie jeszcze w ten sposób, iż razem kilku sąsiadów składają się na jednego Francuza, z wymówieniem, że tyle a tyle czasu będzie bawił w domu każdego. Znałem w niektórych powiatach Francuzów już do tego ugodzonych, których miejscowa szlachta kolejno sobie z domu do domu podawała, jak np: gazetę, lub inne jakie pismo peryjodyczne, zastrzegając tylko, iżby go żaden nad termin nie przetrzymywał. Dla dzieci jestto prawdziwa kara boska, męczą je tą francuzczyzna od najpiérwszych latek: przekonano się bowiem, iż z nadaniem polskiemu dziecku płci męzkiéj czy żeńskiéj dobrego akcentu francuzkiego, tak koniecznie należy się pospieszać, jak np: z zaszczepieniem ospy. Biédne dziatki, za każdém przestępstwem przeciw francuzczyznie, to jest: za każdém przemówieniem językiem ojczystym, idą na pokutę, są łajane, karane, muszą przepraszać, przyrzekać poprawę, jakby po jakiém najcięższém przewinieniu; i dopiéro wtenczas sprawują nie-

pospolitą pociechę swym rodzicom i krewnym, gdy już zaczynają tak źle mówić po polsku, iż przezto rozśmieszają i bawią ludzi dobrze ucywilizowanych, to jest: umiejących gadać po francuzku. Niedorzeczność i głupota w pojedyńczym człowieku może czasem zabawić, rozsmieszyć; ale gdy naród w znacznéj swéj massie traci przytomność i dziecinnieje: taka niedorzeczność oburza i głębokim smutkiem przejmuje.

Myliłby się, ktoby z tego, co się rzekło wnosił, iż znajomość języka francuzkiego jest u nas rzeczą łatwą i powszechną. Przeciwnie, wszyscy z małémi wyjątkami mówimy i piszemy po francuzku; lecz prawie bez wyjątku, mężczyzni i kobiéty, wszyscy mniéj lub więcéj mówimy i piszemy źle z setnémi błędami, tak dalece, iż jest niemal osobna francuzczyzna polska, jak niegdyś była łacina tak zwana kuchenna.*)

Znajomość języków jest bardzo pożyteczna i potrzebna, nikt o tém nie wątpi. Ależ w innych krajach uczą się także różnych języków, a wszelako nie zaciérają swojego, i żadnym obcym nie posługują się jak własnym, nie przybiérają go ustawicznem używaniem niejako za rodowity, za ojczysty. Prawda, że też nigdzie nie mówią tak powszechnie żadnym cudzym językiem, jak u nas francuzkim: lecz czyliż ztąd możemy dla siebie ciągnąć jaką chlubę? Nié ma istoty ludzkiéj tak ograniczonéj, tak pozbawionéj wszelkich a wszelkich zdolności umysłowych, któraby się nie potrafiła nauczyć gadać tym albo owym językiem, zwłaszcza, jeżeli ją do tego wkładają od piérwszego dzieciństwa, i z zaniedbaniem mowy krajowéj. Ale dla czego ta u nas konieczna pretensyja do biegłości, do doskonałości w francuzczyznie? Anglicy i Niemcy, ludy nierównie oświéceńsze, mówią kiedy trzeba po francuzku, każdy z wyraźnym swoim akcentem, i tego akcentu bynajmniéj się nie wstydzą.

Podoba się niektórym utrzymywać, osobliwie tak zwanym elegantkom i modnisiom, że język francuzki ma w sobie coś nierównie delikatniéjszego, jak polski. Ci państwo raz już zakochawszy się w francuzczyznie, upatrują w niéj wszystko najlepsze. Lecz jeżeli do prawdy chodzi o delikatność wysłowienia, o jego czystość, przyzwoitość i wytworność: to język polski jest istotnie wyższy niezmiernie od swojego napastnika. Ja nie znam mowy tak brudnéj, rozwiązłéj, a więc tak grubijańskiéj jak francuzka, tylko że przytém jest bezczelna, zręczna i niczego się nie wstydzi. Jest mnóstwo francuzkich frazesów, które w naszych salonach krążą codzień z najprzyjemniejszym uśmiechem po układnych ustkach naszych elegantek i pieszczoszek, a które gdyby, wytłumaczone na polskie, wymówił kto w jakim zakątnym domku, zmieszałby niezawodnie starców, oblekł w rumieniec lica młodzieńców, wystraszył kobiéty. Słowa nawet najpowszechniejszego użytku, aż do nazwisk kolorów, potraw i t. d. tak nie raz są rażące i bezwstydne, iż pisarz polski nie ośmieli się ich przywieść. Co się tycze delikatności, obyczajności, nasza kochana mowa narodowa jest prawdziwie niepokalaném dzieckiem, czystą dziewicą, która nawet najmniejszéj dwuznaczności nie dopuści tam, gdzie francuzczyzna, jak jaki uliczny awanturnik, nic nie zasłoni, wszystko nazwie, na głos wymówi, kontenta, że się ze wszystkiego wykręci, i z każdéj rzeczy rozśmieje. I także jest prawdą, że w ogólności, ile razy w naszych salonach zacznie kto opowiadać coś mniéj przyzwoitego, albo całkiem brudnego, zawsze wtedy, choćby zaczął po polsku, ratuje się natychmiast francuzczyzną. Uwalnia go ona od zawstydzenia się, ale czyliż taki codzienny sługa, śmiały na wszystko, bezczelny, chytry, dowcipny, będący u wszystkich na zawołaniu, umiejący i z najgorszego wyprowadzić przypadku, nie zagraża w niczém obyczajom? Proszę rozważyć.

A przecież tak się już w Polszcze zagęściła francuzczyzna, iż z gościa, jakim była z początku, stała się domownikiem, panem; mowę miejscową, krajową już w około pokaleczyła, podarła, zeszpeciła i otwarcie ją wytępia. Samowładztwo tego przybysza jest groźniéjsze, że wywarło się naprzód na osoby znakomitsze imieniem, majątkiem, stopniem, i według których ślepsza powszechność narodu zwykła się układać, zapatrując się na nie, jak na

*) Sciągam to mianowicie do tych Polaków, którzy między nami uchodzą za sławnych Francuzów. Wiadomo, że w ogromnym tłumie rozmaitych cudzoziemców, którzy pisali lub piszą po francuzku, ledwie dwóch lub trzech umiało pisać poprawnie i bez śladu cudzoziemczyzny. Odwołuję się w tém do zdania uczonych francuzkich.

swe przewodniki i wzory. Można np: śmiało powiedzieć, że teraz w całej Polszcze trudno o kobiétę z rzędu, jak mówią, *dobrze urodzonych*, *dobrze wychowanych*, *dam dobrego tonu*, którаby mniéj więcéj mogła kwadrans mówić dobrą polszczyzną, i potrafiła choć jeden list dobrze po polsku napisać. Nie tylko, że skład, tok i obrot wyrażeń znajdziesz tam całkiem zfrancuziały, ale jeszcze pisownia będzie jak najszkaradniéj pogwałcona. Co większa, co sromotniéjsza! oto owe Polki bynajmniéj tego się nie wstydzą. Z milutkim, z najsłodszym uśmiechem same ci o tém mówią: niekiedy wprawdzie z takim tonem żałosnéj litości, jakby mówiły o jakimś poczciwym, lecz niezgrabnym prostaczku, którego mimo całéj życzliwości i najlepszego ku niemu serca nie mogą wprowadzić do salonu, gdyżby się tam biédaczek żadnym sposobem znaleźć nie potrafił. Więc w duchu chełpią się z tego, iż dobrze nie umieją po polsku, jak np: z tego, iż nie wiedzą co się dzieje i mówi *w nizkich kompanijach*, albo z tego, że nie rozumieją tych lub owych wyrazów nieprzystojnych, grubych i rubasznych. Cała też korespondencyja takich Polek odbywa się wyłącznie po francuzku. I nic w tém dziwnego. Już dla nich, niestety! mową rodzinną, mową uczucia, mową serca jest mowa francuzka; polszczyzna ledwo się jeszcze używa do garderobianek, do komisarzów, do ludzi folwarcznych, jakby jaki sprzęt staroświecki, niezgrabny, co za przybyciem nowych, modnych, odsyła się do przedpokoju, do sieni. Już żona przyjmując męża z długiéj podróży, rzuciwszy mu się na szyję, wita go po francuzku. Już matka, wyprawując syna na wojnę, trzymając go przy sercu, i łzami zlewając, gdy wymawia nad nim słowa błogosławieństwa, te słowa wnętrzności macierzyńskich, te słowa co dla jéj dziecka będą już może ostatnie, wymawia mową francuzką!... Nie! Nic tu więcéj nie powiém; stłumię w sobie krzyk bolesny, który się gwałtem z piersi méj wyrywa; gdyż albo wcale nie umiałbym się wysłowić, albo zfrancuziałym Polkom, jeźli mię czytać będą, sercaby podrętwiały, gdybym na nie wybuchnął całą siłą mego oburzenia.

Mężczyzni nie są mniéj winni. Rozchorowali się wszyscy na jedną maniję; wszyscy można powiedzieć, ciérpią jeden zawrót głowy. Poszło zatém, że chcąc usłyszeć mówiących dobrze ojczystym językiem, trzeba prawie szukać najuboższych, najukrytszych domków, dokąd mniemany *polor* wielkiego świata wcale jeszcze nie doszedł. Mam najmocniéjsze przekonanie, że, tak mówiąc, bynajmniéj nie przesadzam; a jeźli niektórzy z mych czytelników sądzić będą inaczéj, to tylko dla tego, że już stracili znajomość polszczyzny.

Każdy prawie dom, każda liczniéjsza rodzina, osoby długo razem żyjące mają zwykle między sobą pewne wybrane, ulubione, przyjęte z rozmaitego powodu wyrazy, wysłowienia i obroty mowy, które dla obcych, dla ludzi innego miejsca, nié mają już takiego znaczenia, nie czynią na nich tego samego wrażenia, wynikły bowiem z tożsamości codziennego pożycia, ze spólności uczuć, myśli, zdarzeń, postrzeżeń właściwych tylko owemu domowi, owéj rodzinie, owemu towarzystwu. Toż samo, tylko na rozległéjszą skalę, dzieje się w mowie każdego ludu. Duch każdego języka, jego, że tak rzékę, serce, leży mianowicie w wyrażeniach przysłowiowych, familijarnych, poufałych; w nich wyciska się i maluje piętno charakteru narodu, wychodzą na wiérzch jego uczucia, jego myśli własne, i przegląda się cała jego domowość, cała rodzimość. Im który język ma tych wyrażeń więcéj, im je ma wybitniéjsze, obrębniéjsze i sobie tylko właściwe, tém głębszą i trwalszą nosi na sobie cechę narodowości; i tym dla ludu, który nim mówi, powinien być droższy. Lud polski, rolniczy, żyjący więcéj, jak inne, życiem domowém, familijném, ma w swojéj mowie takich wyrażeń mnóstwo nieprzebrane: — tu jest rdzeń myśli narodowéj; tu leży bogactwo, dzielność i okrasa językowa. Powyjmować te wyrażenia z jakiego języka: jest to, że tak powiém, powyparać z niego żyły, wykruszyć jego siłę żywotną. U nas wszelako zaciérają się one coraz powszechniéj. Możnaby do nie jednego *salonowca* mówić takiémi wyrażeniami ciągle przez kilkanaście minut i patrzałby na mówiącego jak na raroga, słuchałby jak o żelaznym wilku, jak o niestworzonych andronach, rodak rodaka nic a nic nie rozumiejąc, albo ledwie piąte przez dziesiąte. Umiémy i chętnie powtarzamy przysłowia francuzkie, ale znać polskie i używać je, broń Boże! byłby to dowód złego tonu,

złego wychowania. To też tylko słuchajmy dobrze teraźniejszych rozmów; mowa nasza, jędrna, dosadna, wystawna, pełna ozdoby, szybkości i blasku, jest tam jakaś wyschła, wątła, nikczemna, nieswoja, aż serce boli. Takeśmy téj francuzczyny nabrali, takeśmy nią przesiąkli, iż doprawdy gadamy po polsku, jakby gadał Francuz od dawna w Polszcze osiadły, który jednak w toku i zwrotach mowy ciągle zatrąca swoją rodowitą.

Dziś ta choroba, to prawdziwe opętanie nagabywa i dręczy Polaków i Polki nie tylko w domu i w kole rodzinném, nie tylko w przytomności przyjaciół i ludzi obcych, nie tylko po placach, ulicach, ogrodach, widowiskach i wszelkich zgromadzeniach publicznych, lecz nawet w świątyniach pańskich. Śmiech powiedzieć, ale prawda, są np: niektóre Polki co nie chcą spowiadać się inaczéj, jak po francuzku. Radbym wiedzieć, czy tym zacnym paniom wydaje się, iż grzéch nazwany nie po polsku, lecz po francuzku, traci co ze swojéj szkarady? — W tém miejscu może znowu niektóre z moich czytelniczek oskarzą mię o przesadę i zmyślenie. Ale niechże raczą rzucić pięknem swém okiem na własne książki do nabożeństwa, ślicznie i bogato oprawne. Gdzież proszę znajdzie się choć jedna Polka *dobrze urodzona*, *dobrze wychowana*, i licząca się do osób *wielkiego*, *pięknego świata*, któraby się nie modliła na książce francuzkiéj? Miły Boże! więc nawet w rzeczach kościelnych, duchownych, gdzie idzie o zbawienie duszy na całą wieczność, lub o jéj potępienie, ma nami jeszcze pomiatać niedorzeczna moda? Trzebaż tak z Paryża sprowadzać paciérze i modlitwy, jak np: wstążki, róż i inne cacka gotowalni do odbywania zabaw karnawałowych? Czyliż te panie myślą, że w chwili sądu strasznego, gdy im każą pójść na *prawo* albo na *lewo*, będą jeszcze gadały do siebie po francuzku, i po francuzku z grzecznością *dobrego tonu*, *dobréj kompanii* będą sobie wzajemnie ustępowały pierwszeństwa kroku? Póki jest mowa o rzeczach świętych, przychodzi mi na pamięć jedno miejsce z Pisma: »Dokądże maluczcy będziecie miłować dzieciństwo, a głupi rzeczy im szkodliwych żądać będą?« Przepraszam za niegrzeczne wyrażenie, ale tak stoi w *Księgach Przypowieści*, w rozd. I. w 22. Co się zaś tyczé nabożnych książek, proszęż w jakiéjkolwiek francuzkiéj pokazać choćby jednę piękniéjszą modlitwę lub milszą dla poczciwéj duszy, od naszych np: w *Złotym Ołtarzyku* zawartych. Ale powié mi zaraz jaki *modniś*, lub godna politowania *dobrego tonu filozofka:* »A któżto widział czytać Złoty Ołtarzyk? kto słyszał o książce z tak dziwnym tytułem?« Zapewne. Dziwny, lub tylko mistyczny tytuł książki, w któréj mowa o rzeczach niepojętych, dziwnych, mistycznych, zadziwia cię i gorszy; a owęż książki, co trzymacie po waszych salonach, co rozkładacie na waszych strojnych stolikach, które stanowią waszę codzinną zabawę? Oweż mówię książki, na których czytacie słodkie, niedziwne i wcale niemistyczne tytuły, a które samym swoim napisem, zapowiadają w treści bezbożność, wszeteczeństwo, rozpustę i zgorszenia. O biédni! o maluczcy! Ramionami tylko na was wzruszyć, i westchnąć nad waszym zawrotem głowy; litować się nad ślepotą, która ogarnąwszy wasze umysły i serca, do oburzającego rozum dziwactwa prowadzi; albo też wyrzekłszy się czułości, zachodzić się od śmiéchu, szydząc z was i żartując jak z najśmieszniéjszéj, najniedorzeczniéjszéj rzeczy pod słońcem. Przebóg! postrzeżcie się!..... *(z W. P.)*

TRZY DNI W KONOPKÓWCE.

Co za gwar? Jaki ruch? wszystko biega nie chodzi, lata nie jezdzi; wszędzie roznoszą, stawiają, sprzątają, nakrywają. Od siekiér ledwie głosu usłyszéć można. Czy arkę Noego budują? Nie, to bal; bal barona Konopki!... Gdzież tu mieszkać można? Wszędzie otwarto dla gości; 100 Numerów mieszkalnych burgrabia przeznacza, a odźwierny wskazuje. Zajechałem. Poważny z buławą odźwierny głośnym dzwonkiem zapowiada przybyłego gościa; wyskakują jakby siłą machiny parowéj wyrzuceni słudzy, a z niemi burgrabia; zapytują o nazwisko, zaglądają do listy zaproszonych, ale chociaż mnie w niéj nie było, nie odmówiono jednak Numeru w odwodzie trzymanego. — Jakiż wchód spaniały, czy do Forum w Rzymie? Korytarz jak »Nowa Ulica« długi, pełno dam i mężczyzn, spacerujących jak na Wałach we Lwowie; witają mię znajomi, pomijają nieznani. Zmęczyłem się, nim do ostatniego

Numeru zaszedłem. Co za widok z okna! Ogród, który się kończy aż tam, gdzie słońce zachodzi. Dwa zwierciadła natury, dwa stawy, niebo i księżyc odbijają w swéj toni. Rzéka wije się jak *boa* i przegradza te, na zielonym przestworzu rozścielone krzewy i kwiaty. Wyniosłe topole, jakby stróże ogrodu, chylają się wiatrem kołysane i witają przechodnia. Widać wszystkie ścieżki i dróżyny, lecz liścia opadłego nikt tu nie upatrzy, wszystko w kwiecie buja, z wiekiem się nie mierzy. Tam altana w rozmaite kolory ubrana; tu domek schludny ogrodnika, a w koło warzywa, na wzgórku i pod okiem owoce. Jak łza czyste źródło wody siarczystéj w grocie kamiennéj wytryska, a inne źródła do picia w różnych stronach ogrodu, krzepią siły zmordowane przechadzką. Wszędzie mostki, odpoczynki, dodają rozmaitości oku; a z okna tak wszystko jest widocznem, że i balonem, wzniósłszy się nad ludzi, lepiéj widzieć nie można. Odpocząłem w pokoju obszérnym, malowanym, z meblami polérowanémi, utrzymanym chędogo. Słodko marzyłem, jakby na przylądku Dobréj Nadziei; nakoniec zasnąłem. — Nazajutrz, czy sen czy jaw? echo przedziwne! czy głosy Cherubinów wkradają się do mych uszu? Cóżto znaczy? czy p o c h w y t komu? Nie. To codzienna muzyka, najęta dla kąpiących się gości. Nie mogłem dłużéj snem się bawić, musiałem się nieco wychylić z okna, by te oddalone dźwięki lepiéj uchem pochwytać. Słuchałem; a nakoniec, znęcony dniem pogodnym, poszedłem zblizka oglądać to piękne założenie ogrodu, i źródło siarczyste. Ile wczoraj zdala podziwiałem tę wykształconą przyrodę, tyle równie dzisiaj; nadto byłem przejęty szacunkiem dla przedsiębiercy, który nie tylko myślał o korzyściach dla siebie, ale jakby w swoim domu chciał kąpiącym się wszelkich dodawać przyjemności, aby pożyteczne z przyjemném połączyć, a w zadowoleniu drugich swoję znajdować pociechę. Któryż właściciel kąpieli w kraju naszym i za granicą, tyle poświęca na rzecz publiczną i na tak krótkie chwile? Słyszałem, że na przyszły rok jeszcze różnego rodzaju zabawy, tak dla dam, jak i dla mężczyzn przybędą w ogrodzie, a nawet, jak mówią, i teatr powstanie. Tyle przedmiotów rozrywających uleczy nie jednego z tęsknych i kłopotnych marzeń, których w codziennem życiu doświadcza. — Otoż i łazienki. Jeden wchód z ogrodu, drugi zajazd w środek budynku, zkąd po jednéj 20, a po drugiéj 23 łazienek; w każdéj znajdziesz sofę, stolik, krzesło, lustro i dwie wanny lakierowane. Z mieszkalnego gmachu prowadzą kurytarze zamknięte do łazienek, tak, że kąpiący sie bez narażenia się na dészcz lub wiatr z swego mieszkania do łazienek przechodzi. Kuchnie oddzielne; traktyjernik i cukiernik na zawołanie gości. Powóz towarzyski, chodzący do Tarnopola zaspakaja wszelkie potrzeby i służy do rozrywki. — Cóżto za gmach z wieżą, i tyle innych z boku? To są mieszkania dla starozakonnych z modlnicą obszérną i sklepami; z wieży widać Tarnopol i okoliczne wioski. Inne znowu budowle sąto stajnie, wozownie i domy gościnne dla służących, a dworki oddzielne dla kąpiących się. Wracam do stancyi i zastaję bilet zapraszający na bal na godzinę 8. w wieczór. Wyśmienicie! Zobaczę Konopkówkę w całéj świetności, z całém jéj swobodném i wesołém towarzystwem. — Ledwie się skryło słońce, już zastąpiły je ognie płomieniste o podal porozrzucane. Latarnie astralne i mnóstwo lamp brylantowały napis wyzłacany: *Nobis et posteritati Konopkòwka* i faciatę świątyni tańcom poświęconéj. Ciemna noc i spokojna przyczyniała się do podniesienia blasku tych gwiazd ziemskich. Cała wioska wylęgła przypatrywać się oświeceniu i przysłuchiwać muzyce wojskowéj, z 20 osób złożonéj. Sala jak step wielka; z kopułą, gdyby z kościoła zdjętą; oświecona wielkiémi świecznikami, które jak góry płomieniste błyszczały. Lampijon, jak słońce jasny, wydawał wdzięki uprzejmych kobiét, jak i fałsze na dwuznacznych, i jak balony odętych twarzach. W półokrągławych górnych oknach jaśniało w każdém po jednéj literze, co formowało napis: *Vobis Grata*, a na drzwiach było przeźrocze: *Konopkówka.* W lustrach powtarzały się wszystkie twarze i ubiory, i jakby na przekorę wykrzywiały tańcujących. Co do rozmaitości kolorów: byłato tęcza słońcem przeświecona! Przepyszne stroje, przecudne kobiéty! świat się na nie składał, i światby się zdumiéwał, Zoile nawet pomilkły; tańczyły jak Gracyje, przemijały się jak Zefiry, powiewną suknią odziane. Wszystko się w jednę radość spoiło, i wszystko się cieszyło. Śledzionniki, nawet

w swoich przypadłościach rozpogodzili swoje czoła. Jakiż kłopot dla Kupida, skradać się tylko musiał i ostrzyć swoje strzałki, bo wszystko w roztargnieniu do celu stanąć mu nie chciało. Nadchodzi północ. Przeźrocze z drzwi salonu znika, *eldorado* się otwiéra. Stoły na 120 osób, w namiocie połyskiem srébra oświécone; Turkami ściany obesłane. Z kamieni kwiaty wyrastają, stoły rodzą owoce, a z pomiedzy zastaw rozmaitych, ledwo jaką Dryjadę ujrzyć można było. Świetność była całością, a całość świetnością. Nie dziw, jeżeli czyje oczy w rozkołysaném sercu miłość zrodziły. Boginie spocząć musiały, a wtenczas i westchnieniom pora. Nakoniec zdrowia, hukiem moździérzy i trąbami ogłoszone, zamykały biesiadę. Wszystko wróciło do sali i podsyconą ochotę do dnia białego przeciągnięto. — Na drugi dzień po balu, koło drugiéj z południa, zeszły się kobiéty i mężczyzni do sali, i wszyscy wspólnie zasiedli do obiadu. Tak miłe towarzystwo podwoiło ukontentowanie, a przytém apetyt. Wspomnienia wczorajszéj zabawy były przedmiotem rozmów i zaręczeniem się wspólném, żeby Konopkówkę co roku z obowiązku każdy, choćby na tydzień, odwiédzał; bo czyliż może być lepszy cel człowieka, jak po pracy domowéj dla dobra powszechnego lub swojego, pewny czas poświęcić towarzystwu i wesołości. W wieczór damy zniosły każda do sali herbatę, napoje chłodzące i owoce, i wszyscy, świéżo przybyli lub z balu pozostali goście, w jednym gronie przy muzyce wesoło wieczór kończyli.

A. K.

GWARDZISTA NARODOWY
I MACHINA PIEKIELNA.
Z dzień: *Fenix.*

Opowiém przygodę biédnego Duńczyka, który w dniu 28. lipca, w dniu zabójczym, pod kulami *Boulevard du Temple* poległ. Jestto jedna tylko scena z owéj wielkiéj trajedyi, ale najczulsza, ale najgłębiéj wzruszająca:

Eduard Benettet byłto siérota, który od kilku lat przybył do Paryża, w nadziei zapewnienia sobie lepszego bytu pilnością i pracą. W piérwszym roku trudnił się rąbaniem drzewa, w drugim tyle już sobie oszczędził, iż sam drzewo skupował, a w trzecim do tego przyszedł, iż mały przemysł rąbaném drzewem prowadził. Ten rok był czwartym z kolei, w którym Benettet miał się doczekać ziszczenia długich swoich zabiegów. Na dniu wielkiego święta narodowego, w 28. lipca, poczciwy drwal po raz piérwszy przywdział mundur gwardyi narodowéj; w wielkiéj niedźwiedziéj czapce na głowie, w żółtych rękawiczkach stanął w szeregu, i jakże się cieszył, iż swego monarchę obaczy, a jeszcze żywiéj biło mu serce, iż za kilka dni spodziéwał się swojéj narzeczonéj z Danii. Ostatni list, który do niéj pisał, brzmiał témi słowy: »Ty mię nie poznasz, kochana Ludwiko, tak piękny mundur noszę, tak spaniałą czapkę, jak biskup jaki. Już wszystko na twoje przygotowałem przyjęcie; nająłem piękne pomieszkanie. W niedzielę po naszym ślubie, t. j: dnia 9. sierpnia, będziesz ze mną na uczcie gwardyi narodowéj w Tivoli, będziesz widziéć balon puszczony w górę, i ognie sztuczne, jakich nigdy nie widziałaś w Danii.«

Biédny marzyciel! nie przeczuwał, iż wysoko pod strychem domu, ukrytego za drzewami, knuł się okropny polityczno-fanatyczny zamach, że i jego jedna z tychże kul ugodzi, w chwili, gdy radośnie: »*Vive le roi!*« zawołał. Kiedy już legiony stanęły na placu przeglądu, Benettet zajął swoje miejsce w blizkości *Jardin Turc*, przeciw małego teatru pi. Sacchi. Uprosiwszy gwardzistę, który stał przed nim w piérwszym szeregu, aby mu miejsca swego ustąpił, cieszył się słodką nadzieją, iż król będzie przejeżdżał koło niego: »Może mi poda rękę,« mówił do siebie, »albo mię z przyjaźnym powita uśmiechem.« — Nadeszła godzina, tuman kurzu zapowiedział przybycie przydwornego orszaku, na którego czele jechał Ludwik Filip na dzielnym gniadym koniu. Szmer powstał w tłumach zgromadzonego ludu — zabrzmiały głosy: *Eviva!* Serce Benetta biło mocno i radośnie, przejęte gorącą miłością ojczyzny i uwielbieniem dla swego monarchy; zapał jego wzrósł do tego stopnia, iż nie wiedząc sam dla czego, dałby się był zabić za swego króla. Takie też było i przeznaczenie jego.

W chwili kiedy zabrzękło to zbrodnicze okno zdało się naszemu gwardziście, iż broń łysnęła między drzewami: *Sire*, już chciał zawołać, *Sire, sauvez vous!* Ale on tylko pomyślał te wyrazy, bo piorun z piekielnéj machiny nagle uderzył w niego. Dwadzieścia osób padło od razu ugodzonych śmiercią, a drugie pięćdziesiąt uczuło albo głębokie rany, albo lekkie kul draśnienie. Eduard Benettet, wraz z pięcioma swémi towarzyszami, tarzał się w krwi: »*Le roi* — jęknął — *oh, ma Louise!*« I zaniesiono umiérających do ogrodu i do sali bilardowéj w *Jardin Turc*, gdzie razem bez różnicy stopni i stanu, obok siebie leżeli marszałek, prezydent ministrów, proletaryjusze i grenadyjery. Trzynastu z nich nie żyło.

Benettet dychał jeszcze chwil kilka, chociaż mu kula strzaskała głowę. Lekarze z urzędnikami policyi znaleźli pulares w jego mundurze, gdzie się list po duńsku napisany znajdował z pod-

pisem: **do Ludwiki**. W skutek tego uwiadomiono jego gospodarza, ażeby, skoro narzeczona nieszczęśliwego przybędzie, uwiadomił ja ostrożnie o tak wielkiéj stracie, jaka poniosła.

Ludwika przybyła już do Paryża, nie wié o niczém, myśląc, że jéj narzeczony wyjechał w jakim interesie handlowym. Jutrzejszy pogrzéb odkryje jéj okropna rzeczywistość, iż jéj małżonek — nie żyje. Paryż d. 4. sierpnia.

— Ze Lwowa. —

Nakładem księgarzy Kuhna i Millikowskiego wyjdzie w październiku tego roku dzieło: Flora miasta Lwowa, napisane w języku niemieckim przez dr. Alexandra Zawadzkiego, prof. matematyki, fizyki i t. d. Dla uczących się botaniki dziełko to będzie wielką pomocą, ułatwi bowiem poznawanie 800 roślin, znajdujących się w okolicy Lwowa. Cena przedpłaty 1 złr. 30 kr. m. k.

Wyczytawszy w Nr. 33. i 34. Rozmaitości o georginijach pana Walter w Wiédniu, i o pięknym ich zbiorze w Medyce, nie od rzeczy tu będzie obeznać publiczność z temiż w Jabłonowie, w obw. Czortkowskim. Gdy powyższe dwa zbiory są mi znajome, przeto zapewnić mogę, iż georginie w Jabłonowie w niczém tamtym nie ustępują, bo oprócz wielkiéj onych ilości, kilka tysięcy sztuk wynoszącéj, zadziwiają jeszcze swoją rzadkością, mnóstwem odmian i barw, i tak: na dnie białym z czerwonémi pręgami, i czerwone z białémi pręgami, jasnoczerwone, ciemniéj, a ciemne jaśniéj pręgowane, z dnem żółtém czerwono, a z dnem czerwoném, żółto pręgowane i t. d. w nieskończonych odcieniach i stopniach barw. Oprócz tych rzadkości wiele jeszcze innych przedmiotów czaruje w tym ogrodzie, który smutną podolską okolicę zamienił w powabne siedlisko. Z.

Lipiński znajduje się w Frankforcie n. M., gdzie dać zamyśla wielki koncert; publiczność z największą niecierpliwością oczekuje gry sławnego tego mistrza muzyki.

W drugim zeszycie »Pamiętnika naukowego krakowskiego« interesujący jest opis owczarzy góralskich w Tatrach galicyjskich, przepędzających lato na wędrówce z trzodą swoją. Autor tak się wyraża: »Pod każdym względem trzeba kochać i podziwiać tych ludzi. Cotoza uroda w budowie, coza zręczność w każdém ruszeniu; jaki otwarty rozum i przytomny dowcip w rozmowach. Ubior następnie opisany, jest ogólnym strojem tuteiszych pasterzy: koszula po pas, usmażona w maśle, jedna na całe lato; spodnie sukienne białe, obcisłe, z czerwonym szwem i wyszyciem na brzuchu z węgierska; ciżmy króciutkie, przysznurowane do połowy łytek rzemionami; széroki pas skórzany, za pasem po lewéj stronie nóż duży; przez plecy ładna ze szpagatu torba w kolorowe zygzaki, z ogromnémi od wierzchnéj części frendzlami; koszula spięta wielką mosiężną spinką, czasem w kształcie medalu, czasem obrazka, z licznémi spadającémi dosyć długo łańcuszkami; rękawy sfałdowane na ramionach, i fałdy utrzymuje w kształcie guzika jakaś robótka z różnobarwnych paciorków, na głowie kapelusik z wązkiemi brzegami, okrągłym wierzchem, amarantową wstążką obwiązany i ozdobiony świéżą gałązką jakiego drzewa; w ręku siekierka na długiéj lasce, zwana u nich wałaszka lub ciupaga, a w ustach mosiężna fajeczka na kilkocalowym cybuszku. Mosiężne ozdoby, jakoto spinka, i wspomniane fajki, wyrabiają we wsi Ząb Suchy, niedaleko Kościeliska.«

Sławny oryjentalista c. k. radzca nadworny Hammer uczcił dostojnego gościa w Wiédniu, ambasadora tureckiego, wierszem tureckim. Prawda, iż to nie każdy potrafi i podobne powitania tureckie nie wejdą w modę, chociaż wiersze umieścił: »Dziennik mód.« Przekład ich jest następujący: »Do Fethi baszy.«

»Dwa razy ocalała ta stolica nasza
»Pośród Osmana oblężniczych szyków;
»Dziś trzeci wódz się zjawił: przybył Fethi basza,
»I podbił serca wszystkich Wiedeńczyków.«

Były pułkownik gwardyi ces. ros. Paweł Muchanów, członek różnych towarzystw w Rossyi, przysłużył się literaturze polskiéj i rossyjskiéj roku bieżącego przez wydanie: »Rękopisma hetmana Żółkiewskiego (Moskwa 1835, w 8ce; str. 44).« Do wydania onegoż użyto dwóch kopij: jednéj z biblijoteki Załuskich w Petersburgu; drugiéj, którą pan Muchanow znalazł r. 1831 w Królestwie Polskiém. Przekład na język rossyjski uskutecznili pod przewodnictwem pana Muchanowa uczniowie uniwersytetu moskiewskiego pp. Bielecki i Szpak; korektą polskiego textu zatrudnił się pan Sawinicz. (D. P.)

W Kazaniu z drukarni uniwersyteckiéj wyszła z pod prasy »Gramatyka mongolska,« przez Józefa Kowalewskiego. Tamże wkrótce rozpocznie się drukowanie: Chrestomatyi mongolskiéj, tegoż autora.

Pan Gortoff wydał temi czasami w języku rossyjskim »Dzieje Japonii,« w dwóch częściach, z dołączoną kartą jeograficzną.

Na posiedzeniu zboru uczonych w Dublinie w przytomności 600 słuchaczy, dr. Lardner czytał rozprawę o wozach parowych i żelaznych kolejach. Oto treść onéj: »Jeżeli cal sześcienny wody zamieniony zostaje w parę, natenczas siłą swoją może podnieść 15 na 150 stóp, albo 150 funtów na 15 stóp w górę. Prędkość woza parowego zawisła od szybkości, z jaką zasilany być może parą, a prędkość znowu wydobywania się pary zawisła od natężenia gorąca, jakie do wydobycia onéj użytém być może. Jak wielkiém zaś jest to gorąco, z tego poznać można, iż w przejazdzce, robionéj na próbę z Manszestru do Liwerpolu, żelazne roszty zupełnie stopionémi zostały. Trudność w używaniu wozów parowych na zwyczajnych gościńcach na tém się zasadza, iż siła pary, jak każda siła, która jest li mechaniczną, a nie zwierzęcą, nie może się podług okoliczności odmieniać, bez ulegnienia zepsuciu. Zgoła nic ma żadnéj siły mechanicznéj, którąby bez szkody, w razie gdyby tego wymagały okoliczności, natężyć było można; a właśnie na zwyczajnym gościńcu siła, potrzebna do ciągnienia, ustawicznie jest odmienną. Główną zaletę dobrego gościńca stanowi twardość, gładkość i równość. Piérwsza ta własność najdoskonalszą jest w kolejach żelaznych. Druga zaś, z powodu połączeń w szynach, nie tyle się w nich zaleca. Gdzie kolej żelazna jest nowa, nie czuć téj przeszkody; lecz na drodze z Manszestru do Liwerpolu porachować można liczbę szyn, podług uderzeń powozu. Trzecią własność, t. j. doskonałą równość, najtrudniéj zaprowadzić. Na równéj drodze siłą 9 koni, ciężar jednéj beczki ciągnionym być może, czyli 1 koń 250 funtów ruszy. Jeżeli więc droga na 250 stopach o 1 stopę się podniesie, któratо wysokość jest niedostrzeżoną prawie, natenczas potrzeba podwójnéj do ciągnienia siły, niż na zupełnie równéj drodze. Jeżeli droga na 125 stopach jednę stopę się podnosi, to już trzy razy większéj potrzeba siły, i w tym razie wozów parowych używać już nie można z korzyścią. Kiedy droga na 100 stopach nie podnosi się na jednę stopę, wtenczas potrzeba drugiéj machiny parowéj wezwać na pomoc; w razie zaś podnoszenia się drogi na 100 stopach więcéj niż na 1 stopę, parowa machina nie może dostać się na taką wysokość, i wtedy użyć należy innéj machiny parowéj, która umocowana na szczycie wysokości, wyciąga na nią wozy. Wreście wszystkie koleje żelazne muszą iść w prostym kierunku. Żadnym sposobem nie mogą

się w kąty łamać, ani w łuki zakrzywiać, gdyż powozy, przez nadzwyczajną prędkość swego biegu, przy takich zakrętach z kolei wyrzuconeby zostały.«

Chłopka bito kańczugiem. Pan ekonom, który był sam wykonawcą swego wyroku, za szóstém uderzeniem kichnął. Chłopek płacząc z bolu zawołał: »Na zdrowie Jegomości!« — »Bóg zapłać,« odpowie tamten, i uderzywszy go siódmy raz, rzecze: »Na zdrowie ci Bartłomieju.« — »Dziękuję,« odpowie znowu chłopek, »daj Boże odsłużyć Jegomości.«

W Wiédniu produkował się nie dawno publicznie umiejętny pies, nazwany Murzyn, który nie tylko zbiéra drewniane czcionki i składa w zadane słowa, rachuje dobrze, rozróżnia kolory, ale z każdym, kto chciał z grona widzów, w *domino* grał, i najczęściéj wygrywał.

Pewien francuzki pensyj. oficér (tak głoszą dzienniki) wyuczył sobie dwa pudle, które z sobą grywały w szachy, rozwijając w czasie gry taką pewność, taką rozwagę i zgłębienie posunień, iż powszechne wzbudzały podziwienie. Gdy wygrający pies zawsze kawałkiem pieczeni nagrodzony bywał, ztąd wielkie panowało między nimi współ-zawodnictwo, tak, iż skoro któremu psu głód dokuczył, natychmiast zasiadał przed szachownicą, i tak długo wzywał towarzysza szczekającém zaproszeniem, aż pokąd ten z tęsknoty za kawałkiem pieczeni nie stawił mu pola.

W Paryżu bito medal na pamiątkę zamachu w d. 28. lipca. Na jednéj stronie jest wizerunek króla, a na drugiéj napis: *Dieu protège la France!* na obwódzce: Zamach w d. 28. lipca 1835.

Nie dawno pewna francuzka dama zapisała królewskiéj akademii medycznéj w Paryżu 20,000 frank. z warunkiem, aby roczny procent od téj summy temu został przeznaczony, ktoby złożył akademii najlepszą rozprawę: O szkodliwym wpływie gniewu na żywot ludzki. Dama ta musiała się bardzo wiele w życiu swojém gniewać, gdy w końcu za teoryję gniewu po 20,000 fr. płaci.

W pewnym domu ulicy *Courcelles* w Paryżu, w obecności pp. Arago, Darcet i innych znawców odbyto próbę ze sposobnym do przenoszenia i niesciskającym się gazem, którego użyto do oświécania; wynalazek ten zrobiony jest przez pa. Houreau-Muiron z Rheims. Doświadczenie to najpomyślniéj się powiodło, z czego wróżą sobie bardzo ważne rezultata. Najgodniéjsze uwagi jest to, iż płomień okazywał się zupełnie nieruchomym.

»Ja powiadam,« rzekł jeden mowca izby deputowanych Francyi, »że u nas, w Paryżu, chléb i mięso byłoby daleko tańsze, gdyby po jatkach zamiast tablic z taxami, przybijano za uszy inspektorów targowych i ich adjutantów.«

Zbór naukowy w Douai zdaje się, iż będzie świetniéjszy tego roku, niż lat przeszłych w Caen i Poitiers, chociaż na tym ostatnim 220 członków się znajdowało. Do najznakomitszych cudzoziemców, którzy tam zgromadzić się mają, należą lordowie Brougham, Douro i Mansfield, baronowie Stassart i Reif Fenberg z Belgii, książę i księżna Salm, i t. d.

Czy ostrogi u butów stanowią wielkiego człowieka? — Nie inaczéj, bo chcąc być wielkim, trzeba być głośnym, a ostrogi brzęczą.

Miasto Charleroi słynie dziwnémi zakładami. I tak nie dawno założył się jakiś pan S., iż dziesięć mil ujedzie, nim ślimak 10cio-calową przestrzeń na kamieniu, posypanym cukrem prześliznie. Tenże sam z kimeś się założył: kto dłużéj w Sambrze (rzece) będzie siedział. Po sześcio-godzinném siedzeniu w wodzie p. S. kazał sobie podać szlafmycę, powiadając, iż tu nocować będzie, i dopiéro nazajutrz z rzéki wyjdzie. Przeciwnik jego przyznał mu zwycięztwo.

N a u c z k a s z u l e r o m. Gazeta Luiziańska pisze: W Wiksburgu otwarto dom gry, gdzie wielu z młodzieży potraciło majątki. Poczciwi mieszkańcy, chciawszy temu koniec położyć, wezwali szulerów, aby miasto opuścili. W końcu przyrzeczono nawet, iż im zapłacą miejsca w statku parowym, aby sobie tylko odjechali. Gdy ci, którzy przynieśli im to wezwanie, wychodzili z domu gry, dano ognia do nich i jednego ubito. Lud, obruszony na zbrodniarzy, rzucił się tłumem na dom, wyłamał drzwi, wyciągnął pięciu szulerów, i bez sądu powiesił. Wszystkie pieniądze, jakie znaleziono u nich, złożono na stole, który stał przed wisielcami, i wypłacano każdemu, kto dowiódł, iż w tym domu obegrany został. — W Natszez, w państwie Missisipi, zburzono także dom gry, jednakże nie powieszono nikogo. — Nie złyto przykład do naśladowania.

W o j n a m u z y k a n t ó w. W Neapolu były dwa muzykalne towarzystwa, które w nieustannéj żyły z sobą waśni. W dwóch oddzielnych kościołach, śród natłoku ludu, dawały swoje popisy. W dzień Stéj Ireny była kolej na konserwatoryjum *Dei Turchini*. Zwolennicy strony przeciwnéj wkradają się dniem wprzódy do sali, gdzie były złożone instrumenta, kropią je wodą, i czynią do użycia niezdatnémi. Nazajutrz kościoł przepełnia się słuchaczami, ciekawość rośnie, muzycy nie postrzegają psoty i biorą się do dzieła, ale — śmiech powszechny; instrumenta, mimo wszelką usilność, w żaden sposób nastroić się nie dają. Cóż było czynić; drużyna Orfeja odchodzi ze wstydem, i przyrzeka zemstę. W dzień Śgo Franciszka przypada kolej na konserwatoryjum *Śgo Onufra*, które stawi śród kościoła orkiestrę na wysokich kobełnicach, i poi się nektarem zwyzięztwa. Cóż czyni strona przeciwna? wkrada się nocą, i podpiłowuje nogi kobelnic. Nazajutrz przychodzi dzień popisu, kościoł przepełniony; wchodzą bohaterowie uroczystości, i wstępują z tryumfem na orkiestrę; dopokąd szedł jeden po drugim, nie było żadnego przypadku, ale skoro już wszyscy stanęli, a dyrektor, garbus karłowaty, dając znak rozpoczęcia, uderzył nogą w podstawę, runęło z wielkim łomotem całe rusztowanie, potoczyły się z łoskotem trąby, kotły i basy, a panowie muzycy, jakby owe z nieba zepchnięte potępieńcy, dali w dół kozła w rozmaitych kształtach; zaczęto z gruzów dobywać poległych; ale o dziwo! pan kapelmistrz zniknął, jakby kamfora! Gdzieby się podział, każdy w głowę zachodzi; aż oto z tułumbasu, który się był na stronę odtoczył, wychodzi głos żałośliwy; idą za tém hasłem, i znajdują pana kapelmistrza — w tułumbasie; ustrzągł w nim, jakby lalka w pokrowcu! Śmiech powszechny rozległ się po całym kościele, sami nawet potłuczeni nie mogli się wstrzymać, aby mu nie wtórowali. Po tém nieszczęściu pogodziło się oboje stronnictwo, i w pamiątkę wykonało najpiękniéjsze w świecie oratoryjum, pod nazwą: *Concordia parvae res crescunt!*

M o d y. Od dawna wygnane z toalet korale zaczynają się pokazywać w świecie elegancyi i mody, a kto wie, czy nie staną się ulubieńcami jego; równie wchodzą we wziętość roboty mozaikowe, iż je nie rzadko widzieć można w kulczykach, szpinkach i t. d. W kształcie czworograniastym do najmodniejszych należą; do oprawy mało złota wchodzić powinno, gotycki wzór najlepszy; bransoletek najwięcéj jest w tym rodzaju. Serduszka, jakie za lat dawnych noszono, znowu wchodzą w modę. — Zbytek w szlafrokach męzkich również posunął się daleko, jak w innych rodzajach stroju. Modniś w zakątku swoim obwija się w długi fałdowany chylat, jedwabny lub kaszemirowy, i opasuje się po nim bogatym sznurem; do tego przychodzi jeszcze grecka lub chińska czapeczka, i pantofle z ostrémi nosami.

Redaktor: Jan Nep. Kamiński. Druk Piotra Pillera, we Lwowie.